

Formowanie Rzeczypospolitej

III

27 września 2013

Rząd Tadeusza Mazowieckiego, mimo silnej konkurencji, uznać można za najdziwniejszy rząd postkomunistyczny. Do tego stopnia, że zdania są podzielone nawet w kwestii jego „postkomunistyczności”.



Na początku proponuję mały eksperyment: zadajmy kilku osobom proste pytanie: „kiedy w Polsce skończył się komunizm?”. Najprawdopodobniej usłyszymy dwie różne odpowiedzi, w zależności od preferencji politycznych zapytanego: albo, że w 1989, albo, że w 1991 roku. Ewentualnie, że trwa do dzisiaj. Skupimy się jednak na dwóch pierwszych odpowiedziach. Są to odpowiednio daty powołania i dymisji rządu Tadeusza Mazowieckiego: 24 sierpnia 1989 i 12 stycznia 1991 roku. Obie, jak i sama ograniczona nimi kadencja Mazowieckiego, to jeden z najzacieklej komentowanych i wzbudzających największe emocje okresów historii Polski. Wydarzenia sprzed ledwo ponad dwudziestu lat wzbudzają nawet dyskusje o tym, czy powinna się nimi zajmować historiografia czy może politologia. Nie będziemy jednak czekać, aż metodolodzy rozwiążą spór o kompetencje i po prostu przyjrzymy się temu, co działo się u

zarania III Rzeczypospolitej.

POWYBORCZY GALIMATIAS

Wynik wyborów z 4 czerwca 1989 był zaskoczeniem dla wszystkich, z wygranymi na czele. Sromotna klęska PZPR oznaczała, że zakrojony na wiele lat proces transformacji ustrojowej, ustalony podczas rozmów Okrągłego Stołu, można wyrzucić do kosza. Szerokie poparcie społeczne wymusiło na działaczach opozycji działania bardziej radykalne niż sami zakładali. Dotychczas przyjmowano, że PZPR obsadzi zarówno fotel prezydenta, jak i premiera oraz większość resortów. Teraz zaczęto to mocno kwestionować. Na włosku zawisała nawet kandydatura gen. Jaruzelskiego na fotel prezydenta, którą uratowała dopiero interwencja gen. Kiszczaka, straszącego w kuluarach działaczy opozycji możliwym buntem Służby Bezpieczeństwa oraz wojska. Panował chaos, wykruszały się ZSL i SD, coraz silniej dążące do rozvodu z PZPR.

Wtedy zaczęła się krystalizować koncepcja, którą 3 lipca w swym artykule pod znamienym tytułem „Wasz prezydent, nasz premier” wyłożył Adam Michnik. Koncepcja spotkała się z aprobatą Moskwy i PZPR, sprzeciwił się jej natomiast... Tadeusz Mazowiecki. Ostrzegał on przed przejęciem odpowiedzialności za państwo przez niegotową na to stronę opozycyjną, wytykając głównie, będący faktem, zupełny brak programu ekonomicznego. Strona solidarnościowa zupełnie nie przyszykowała się na przejęcie władzy, teraz zaś zaczęła się zastanawiać, jak zostawić jej możliwie sporo w rękach PZPR. Gdy 19 lipca w celu wybrania prezydenta zebrało się Zgromadzenie Narodowe, Jaruzelski wygrał tylko dzięki głosom opozycji, a nawet wtedy osiągnął przewagą... jednego głosu (przy 537 głosach ważnych większość dawało 269 głosów, on zaś dostał 270).

KOPNIAK W GÓRĘ

Dlaczego pierwszym premierem, niezupełnie z własnej woli, został Mazowiecki? Wydawał się on właściwą osobą, był

zasłużonym działaczem katolickim o sporej popularności, zdawał się zapewniać duże poparcie społeczne, konieczne dla przeprowadzenia szeregu reform, mających podźwignąć Polskę z kryzysu. Miał też opinię osoby raczej umiarkowanej, wręcz kunktatora, co już zresztą zdążył udowodnić.

Były też jednak i inne czynniki, najważniejszym za nich było zaś wsparcie Wałęsy. Środowisko opozycyjne było, mówiąc delikatnie, niejednolite. Składało się z organizacji niemal zwalczających się, każda zaś usiłowała coś ugrać. Wałęsa, jako lider „Solidarności”, bardzo chciał mieć do dyspozycji premiera, na którego będzie miał wpływ, a do tego uważanego za stojącego w opozycji do między innymi postaci takich jak Kuroń czy Geremek. Dawało to Wałęsie szansę na ogniste spory w łonie opozycji, podczas których mógłby być arbitrem z głosem decydującym.

24 sierpnia odbyło się posiedzenie Sejmu PRL X kadencji, podczas którego Mazowiecki wygłosił swoją słynną przemowę, w której padły znamienne słowa o „grubej kresce”. Choć w zamierzeniu miały one mówić o rozpoczęciu nowego okresu w historii Polski, jego kunktatorstwo i niezdolność do radykalnego odcięcia się od rządów komunistycznych spowodowały, że słowom tym nadano znaczenie, jakie niosą one po dziś dzień.

Tego dnia odbyło się też głosowanie nad wyborem nowego premiera Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Miażdżąco, stosunkiem 378 do 4 głosów (przy 41 wstrzymujących się), wygrał je Mazowiecki. Bardzo szybko też okazało się, że rachuby osób, które liczyły na jego powolność, są chybione. Formując swój rząd postępował zgodnie z własnym uznaniem, nie przejmując się sugestiami innych osób. Szczególnie zabolalo to Wałęsę, który już w kilka dni po wyborze wypominał Mazowieckiemu z urazą „To ja pana zrobiłem tym premierem”, na co upominany odparł z gracją „No tak, ale ja już jestem tym premierem”. Gdy ogłosił skład rządu, okazało się, że jednak na chwilę odłożył na bok swoje kunktatorstwo: spośród 24

stanowisk tylko 4 obsadził ludźmi z PZPR. Inna sprawa, że były między innymi dwie najważniejsze teki: ministra spraw wewnętrznych – gen. Kiszczak i obrony narodowej – gen. Siwicki. Pozostałe to współpraca gospodarcza z zagranicą – Świącicki oraz transport, żegluga i łączność – Wielądek.

Prócz niezależności, wybór ministrów potwierdził coś jeszcze: prawdziwość słów Mazowieckiego w kwestii totalnego nieprzygotowania opozycji do przejęcia władzy. Kandydatury były przypadkowe, często nieprzemyślane, kandydaci zaś nie zawsze chętni do piastowania danej funkcji. Stanowisko ministra finansów, nim w końcu zgodził się je przyjąć Balcerowicz, proponowano kilku osobom. Według Jerzego Urbana jedyną osobą, o której można było powiedzieć, że rządziła wtedy Polską, był szef URM Jacek Ambroziak. Do pewnego stopnia udało się jednak przezwyciężyć problemy wieku dziecięcego i w końcu 12 września zatwierdzono skład pierwszego rządu PRL, w którym stanowiska premiera nie obsadzała osoba związana z PZPR. Zobaczmy, jak radził sobie z problemami, które stanęły przed nim w czasie trwania kadencji.

BITWA O GRANICE...

...a konkretnie jedną, mianowicie polsko-niemiecką. Jej przebieg został wprawdzie potwierdzony 6 lipca 1950 roku, problem jednak polegał na tym, że sygnatariuszem była jedynie NRD, RFN zaś te same umowy nie podpisała. Gdy po upadku Muru Berlińskiego kanclerz Helmut Kohl ogłosił swój program zjednoczeniowy okazało się, iż wśród dziesięciu punktów w nim zawartym ani jeden nie dotyczy granicy z Polską. Biorąc pod uwagę nastrój, jaki od 1945 roku był budowany wokół granicy polsko-niemieckiej i zależnego od niej bezpieczeństwa państwa można zrozumieć, iż strona polska przyjęła to bardzo źle. Polska zaczęła starać się o udział w konferencji „2 + 4”, podczas której obradowali przedstawiciele RFN, NRD oraz Wielkiej Brytanii, USA, Francji i ZSRS. Jej tematem było właśnie zjednoczenie Niemiec, dlatego też tam właśnie chciano zadbać o kwestię granicy.

Interwencja zakończyła się powodzeniem. 3 października 1990 nastąpiło zjednoczenie Niemiec, zaś już 14 listopada ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec, Krzysztof Skubiszewski i Hans-Dietrich Genscher, podpisali traktat graniczny. To iście ekspresowe tempo było zasługą rządu Mazowieckiego.

Sęk w tym, że podczas konferencji „2+4”, jak również przed nią i po niej, ani razu nie zająknięto się nawet na temat ewentualnych zmian w linii granicznej. Niemcy nie mieli ani sił, ani chęci, ani nawet cienia szans na poparcie w tej sprawie, od początku więc było jasne, że traktat graniczny podpiszą. W sumie więc przyspieszono podpisanie traktatu o kilka, może kilkanaście miesięcy kosztem zrobienia sobie fatalnej opinii w Bonn oraz europejskich kołach politycznych. Polska interwencja okazała się być tak gwałtowna, że Mazowiecki ustami rzecznik Małgorzaty Niezabitowskiej musiał otwarcie zapewnić, iż nie ma zamiaru powstrzymywać zjednoczenia Niemiec, tak to bowiem odczytano.

SZCZĘŚLIWEJ DROGI JUŻ CZAS

Jednym ze stałych elementów krajobrazu Polski Ludowej były oddziały Armii Radzieckiej. Logicznym więc było, że podczas oddalania się od Moskwy jej siły wojskowe będą jedną z pierwszych rzeczy, których będziemy chcieli się pozbyć. A raczej byłoby, gdybyśmy faktycznie od Moskwy usiłowali się odsunąć. Mazowiecki w swym kunktatorstwie obawiał się wykonywać zbyt radykalnych ruchów, nie będąc pewnym swej pozycji na arenie międzynarodowej. Obawa ta bardzo skutecznie paraliżowała premiera RP i zarazem cały jego rząd, który pod tym względem pozostał „peerelowski” aż do bólu. Dopiero w lipcu 1991, po zlikwidowaniu Układu Warszawskiego, opracowano po raz pierwszy polską doktrynę obronną, która nie zakładała agresji ze strony NATO. Dotychczasowa zaś wcale nie była spadkiem po rządach PZPR, ostatnią zatwierdzono bowiem 21 lutego 1990.

Polska powściągliwość była stronie sowieckiej bardzo na rękę, bowiem obecność oddziałów Północnej Grupy Wojsk na terenie Polski zabezpieczała ewakuację Armii Radzieckiej z terenów NRD. W efekcie tej grzeczności właściwe rozmowy na temat opuszczenia naszego kraju przez sowieckich żołnierzy prowadził dopiero rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego. Można tu zaznaczyć, iż Czechosłowacja czy Węgry rozmowy zaczęły znacznie wcześniej i zamknęły je odpowiednio w lutym i w marcu 1990, a więc w czasie, gdy Polska wciąż kurczowo trzymała się rozpadającego Układu Warszawskiego.

BALCEROWICZ MUSI PRZYJŚĆ

Wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz okazał się zarówno najbardziej kompetentnym jak i najbardziej paradoksalnym ministrem w rządzie Mazowieckiego. Jako jedyny dysponował sprawdzonymi współpracownikami, jako jedyny naprawdę wziął się z kopyta do dzieła... i jako jedyny tak bardzo nie pasował do szefa rządu. Różnili się absolutnie wszystkim, od cech charakteru (flegmatyczny Mazowiecki kontra energiczny Balcerowicz) aż po preferowane godziny pracy, bowiem Mazowiecki lubował się w wielogodzinnych, nocnych debatach i naradach, które Balcerowicza doprowadzały do szału i które tenże uważał za kolosalne marnotrawienie czasu. Z czasem premiera coraz bardziej irytowała nadmierna samodzielność ministra finansów, nie posuwał się jednak do torpedowania jego pracy. Na szczęście, bowiem główny sternik polityki gospodarczej miał jej dość bez dodatkowych problemów.

Nawet największy optymista nie był w stanie ocenić sytuacji gospodarczej Polski inaczej niż „katastrofalna”. Deficyt budżetowy rósł sięgając w 1989 roku 8% PKB, uwolnienie cen artykułów spożywczych przez rząd Rakowskiego skutkowało gwałtownym wzrostem inflacji (34,4% we wrześniu 1989, 54,8% w październiku 1989). Dodać tu można także czynniki nie wyrażające się cyframi, jak fatalny system zarządzania pracą, jej niska wydajność czy niewydajna struktura zatrudnienia. Skala zadania była ogromna, działać zaś trzeba było szybko,

zanim społeczeństwo zorientowało się w skali poniesionych kosztów.

Zaczęto z rozmachem, od skasowania większości dotacji, podniesienia akcyzy, cła i opodatkowania kantorów. Rezygnacja z minimalnych cen skupu produktów rolnych zapoczątkowała niechęć środowisk wiejskich, która doprowadziła w końcu do historycznego powtarzania „Balcerowicz musi odejść”. Wzrost cen zaplanowano na 572%, do tego spodziewano się spadku płac realnych rzędu 20%. Tempo prac było iście mordercze, posłowie i senatorowie pracowali nieraz po nocach, miała też miejsce niespotykana nigdy wcześniej i nigdy potem zgodność wśród polityków. W efekcie 1 stycznia 1990 roku gen. Jaruzelski podpisał wstępny pakiet ustaw, będący rdzeniem właściwego planu Balcerowicza, czyli terapii szokowej dla polskiej gospodarki. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania.

Owszem, udało się ustabilizować kurs złotówki, w sklepach zaś zaczęły się pojawiać towary, jednak po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat ich cena opierała się na mechanizmach rynkowych i świadczyła o faktycznych stosunkach produkcji. Innymi słowy, była koszmarnie wysoka. Niemiałą niespodzianką był także wzrost inflacji – szacowany na 45% w styczniu, okazał się sięgać 78,6%. Wyższy od zakładanego okazał się także spadek produkcji (24,2%) oraz wzrost bezrobocia (do 6,1%). Warto zaznaczyć, że liczby te wydają się zawyżone – wskaźnik bezrobocia był na przykład efektem nie tylko konieczności restrukturyzowania zakładów, ale także bardzo liberalnego przyznawania zasiłków, dzięki którym wiele osób chętnie rejestrowało się jako bezrobotni.

Na początku społeczeństwo zniosło trudności z godnością. Dopiero na wiosnę rozpoczęła się fala strajków, głównie środowisk rolniczych. Mazowiecki wykonał wtedy dwa popisowe strzały w stopę, związane z zajęciem przez protestujących rolników budynku Spółdzielni Mleczarskiej w Mławie. Rząd wysłał tam siły porządkowe, nie mógł jednak wybrać gorzej, niż zgadzając się na użycie transportera opancerzonego.

Wspomnienia z łamania strajków przez ZOMO przy użyciu takiego sprzętu były nieco zbyt świeże. Na domiar złego niespełna dwa tygodnie po tym wydarzeniu przyznano 300 miliardów starych złotych na restrukturyzację mleczarstwa, mimo wcześniejszych zapewnień, że pieniędzy na to nie ma, nie było i najprawdopodobniej długo jeszcze nie będzie.

Ważnym projektem była szeroko zakrojona prywatyzacja, do której powołano specjalnie Ministerstwo Przekształceń Własnościowych. „Mała” prywatyzacja okazała się być poważnym sukcesem. W jej efekcie drobny handel oraz usługi zostały szybko i sprawnie przejęte z rąk państwa, powodując rozwój przedsiębiorczości (w 1990 powstało 17,9 tys. nowych spółek prawa handlowego oraz 322 tysiące spółek założonych przez osoby fizyczne), a nawet niewielki napływ kapitału zagranicznego.

Zdecydowanie gorzej jednak wyglądała sytuacja z „dużą” prywatyzacją. Stała ona pod znakiem afer i astronomicznych malwersacji, w które zamieszani byli członkowie poprzedniej władzy. Afera alkoholowa, afera FOZZ i powiązana z nią niewyjaśniona śmierć inspektora NIK Michała Falzmana oraz wiele innych sprawiły, że dookoła procesu prywatyzacji narosło wiele negatywnych konotacji. Członkowie PRL-owskiego establishmentu radzili sobie w nowej sytuacji niepokojąco dobrze, bez problemu zdobywając stanowiska w nowych, sprywatyzowanych spółkach, co rodziło uzasadnione podejrzenia o nadużycia.

To, że Balcerowicz uchronił Polskę przed hiperinflacją, kwestii nie ulega. To, że zrobił to wielkim kosztem – także. Być może z perspektywy czasu można wymyślić kilka bardziej „humanitarnych” scenariuszy, w ogólnym rozrachunku jednak udało mu się pchnąć odradzającą się Rzeczpospolitą na drogę do kapitalizmu. Zrobił to, co należało. Jak natomiast wykorzystano jego działania? To już inna sprawa.

POLSKA RZECZPOSPOLITA... POLSKA

Odnawiane państwo wymagało odnowionej konstytucji. Nie było wprawdzie szans, by nową ustawę zasadniczą napisać na kolanie, zmiana jednak, nawet symboliczna, była niezbędna. Przystąpiono więc do prac nad nowelizacją, zakończonych uchwaleniem jej 29 grudnia 1989 roku. Nie była to pierwsza poprawka w tym roku – poprzednią wprowadził rząd Rakowskiego 7 kwietnia, a zmiany w niej zawarte służyły w dużej mierze przeprowadzeniu wyborów kontraktowych w formie choć zbliżonej do uczciwych wyborów demokratycznych władz państwa. Stąd zmiana ordynacji wyborczej, odtworzenie funkcji Senatu oraz urzędu prezydenta, zlikwidowanie Rady Państwa etc. Zmiany te, choć konieczne, były jednak, po pierwsze, podyktowane koniecznością przeprowadzenia wyborów, po drugie zaś, wprowadził je jeszcze rząd, co do którego nie było wątpliwości, iż był całkowicie komunistyczny. Ekipa Mazowieckiego musiała konstytucję bezwzględnie znowelizować, zwłaszcza, że nie było możliwości uchwalenia nowej. Co zatem zostało poprawione?

Tradycyjnie już: mniej, niż oczekiwano. Nowelizacja była dość symboliczna, choć niektóre symbole były ważne. Przykładowo, powrócono do nazwy Rzeczypospolita Polska, usunięto cały przesasycony ideologią wstęp jak również odwołania do sojuszu ze Związkiem Sowieckim i bratnimi demokracjami ludowymi oraz fragment mówiący o przewodniej roli PZPR. Poza tym potwierdzono zmiany z nowelizacji kwietniowej, pluralizm polityczny, przywrócono koronę Orłu Białemu... i tyle. Po nowym rządzie można było oczekiwać czegoś więcej niż tylko kosmetyki. Samo usunięcie z konstytucji Związku Sowieckiego i PZPR dawało odczuć, że idą zmiany, jednak nie było to do końca to, czego oczekiwano. Stanęły temu na drodze trzy przeszkody.

Po pierwsze: czas. Trzeba pamiętać, że prace nad pierwszą postkomunistyczną konstytucją RP trwały aż do 1997 roku. Owszem, wielokrotnie napotykały one na problemy, zmieniały się koncepcje, jednym słowem prace nie szły z maksymalną prędkością, daje to jednak pewien obraz ogromu zadań, jaka stoi przed tworzącymi konstytucję. Dodajmy jednak, że prace te

zaczął właśnie Mazowiecki, 7 grudnia 1989 roku powstają bowiem dwie komisje konstytucyjne (sejmowa i senacka), na których czele stają Bronisław Geremek oraz Alicja Grześkowiak.

Po drugie: legitymizacja. Istniały bardzo poważne wątpliwości, czy Sejm kontraktowy, który przecież nie jest przedstawicielstwem obywateli państwa, powinien zajmować się kwestią tak fundamentalną dla jego kształtu jak konstytucja. Wreszcie po trzecie i najważniejsze: wizja. Czyli coś, czego nie miał ani Mazowiecki, ani nikt z jego ekipy, ani w sumie nikt z obozu solidarnościowego. Nikt nie miał pomysłu, jak ma wyglądać państwo, które powstawało w efekcie przemian. Zabrakło koncepcji na Polskę, który to brak okazał się już zmorą rządu Mazowieckiego i niestety jeszcze zostanie przywołany.

PRZED KOMISJĄ WERYFIKACYJNĄ STAJE...

Biorąc pod uwagę ogólne tempo prac Mazowieckiego, nie dziwi fakt, że Służba Bezpieczeństwa wciąż trwała w niezmienionym stanie... Czy aby na pewno nie dziwi? Nie mówimy tu o jakiejś komisji sejmowej, lecz o jednym z najważniejszych elementów aparatu represji PRL, który spokojnie niczym pączek w maśle trwał sobie w niezmienionym stanie aż do 6 kwietnia 1990 roku. Zastąpiono jedynie dowódców, a na miejsce dotychczasowego generała Henryka Dankowskiego przyszedł 1 listopada 1989 roku pułkownik Jerzy Karpacz. Jeżeli ktoś sądzi, że dla Dankowskiego oznaczało to kłopot, jest w błędzie – po oddaniu funkcji został pierwszym zastępcą ministra spraw zagranicznych. Nie był to zresztą jedyny absurd. SB, która przecież trwała dalej niezmieniona, pełniła niezmienione funkcje. Może i opozycja stała się nagle zwierzchnikami (a i to nie do końca), wciąż jednak istniały organizacje opozycyjne wobec nowego rządu – SB prowadziła działalność operacyjną wobec Konfederacji Polski Niepodległej czy Solidarności Walczącej. Cała ta konstrukcja zaczęła pękać dopiero 7 marca 1990 roku, kiedy podsekretarzem stanu w MSW został krakowski filozof i dziennikarz Krzysztof Kozłowski, natomiast 3

kwietnia tego roku Bronisław Komorowski oraz Janusz Onyszkiewicz otrzymali teki wiceministrów obrony narodowej. Trzy dni później uchwałą Sejmu problem w końcu rozwiązano: Milicja Obywatelska zamieniła się w Policję, zaś Służba Bezpieczeństwa w Urząd Ochrony Państwa, którego pierwszym szefem został wspomniany już Kozłowski. O ile milicjanci stawali się policjantami w sposób automatyczny, o tyle funkcjonariusze SB podlegali weryfikacji. Z 22,5 tysięcy esbeków pozytywnie zweryfikowano 10 tysięcy, 8,5 tysiąca zaś nawet do niej nie przystąpiło. Do UOP, mocno ograniczonego, przeszło tylko 4,5 tysiąca, zaś spora część reszty rozpoczęła pracę w Policji lub Służbie Granicznej. Ponieważ jednak milicjantów nie weryfikowano w żaden sposób, byli funkcjonariusze trafiali między swoich niemal kolegów po fachu, nierzadko też znajdowały się dla nich posady kierownicze. O skali zjawiska mówi prosty fakt: w 2005 roku wciąż około 11% kadry dowódczej Policji stanowili byli pracownicy SB.

Lody ruszyły dopiero 6 lipca 1990 roku, kiedy Sejm odwołał Czesława Kiszczaka z fotela ministra spraw wewnętrznych zaś Floriana Siwickiego pozbawiono teki ministra obrony narodowej. Zastąpili ich odpowiednio Kozłowski oraz wiceadmirał Piotr Kołodziejczyk, szefem UOP został natomiast Andrzej Milczanowski. Zanim jednak doszło do tych zmian, Mazowieckiemu wielokrotnie proponowano zastępowanie starych pracowników nowymi. Z każdym razem bronił się przed tym panicznie, częściowo broniąc anachronicznych i nie mających racji bytu ustaleń okrągłostołowych, częściowo zaś z właściwego sobie strachu przed zmianami. Doszło do tego, że nawet gen. Kiszczak proponował mu, prawdopodobnie z czystego szyderstwa, zmiany personalne prowadzące do wyrzucenia dawnych działaczy partyjnych z resortów siłowych, przed czym Mazowiecki bronił się rękami i nogami.

Analogicznie wyglądała sytuacja w wojsku, gdzie na niezmienionych stanowiskach trwali dotychczasowi dowódcy.

Pomysł awansowania młodszych oficerów, gotowych być bardziej lojalnymi wobec nowej władzy a także rokującymi większe nadzieje na przystosowanie się do zmienionej sytuacji kraju był zdecydowanie odrzucany za każdym razem, gdy się na nowo pojawiał. Co zaś się tyczy wojskowych służb wywiadowczych... Zmieniano je, nawet dwukrotnie. Najpierw w kwietniu 1989 roku, jeszcze za Rakowskiego, kiedy to rozwiązano Wojskową Służbę Wewnętrzną, na jej miejsce zaś powstał Zarząd II Wywiadu i Kontrwywiadu. Dopiero 22 sierpnia 1991 roku Mazowiecki podjął, rękoma ministra obrony narodowej Kołodziejczyka, działania mające na cel zmianę sytuacji: rozwiązał Zarząd II i powołał do istnienia Szefostwo Wojskowych Służb Informacyjnych. Była to jednak zmiana czysto organizacyjna – nie przeprowadzono żadnej weryfikacji, wszystkie stanowiska piastowali ci sami co dotychczas ludzie, funkcjonujący według tych samych procedur. I tak samo uwikłani w sieć zależności z czasów PRL, dzięki czemu w następnych latach polscy oficerowie wywiadu okazali się być bohaterami rozlicznych afer przestępczych i szpiegowskich, sam zaś wywiad oraz kontrwywiad były ze szczerem zinfiltrowane przez służby rosyjskie, którym dotychczas podlegały.

CO WY TAM PALICIE?

Najbardziej chyba bulwersującą sprawą, ilustrującą nieudolność rządu Mazowieckiego, była kwestia archiwów MSW. Do ich niszczenia przystąpiono w sierpniu 1989 roku, kiedy okazało się, że władza wymyka się z rąk PZPR szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał. 26 sierpnia gen. Tadeusz Szczygieł w piśmie do gen. Dankowskiego zaproponował rozpoczęcie niszczenie archiwów Służby Bezpieczeństwa, zaś jeszcze tego samego dnia Dankowski wyraził zgodę. Przez długi czas dawało się sprawę utrzymać w tajemnicy, dopiero 26 stycznia 1990 ukazał się artykuł w „Gazecie Wyborczej” opisujący tą praktykę. W odpowiedzi szef archiwów MSW płk Kazimierz Piotrowski najbezwzględniej w świecie oświadczył, że niszczenie dokumentów jest rutynową praktyką związaną z reorganizacją MSW. Jak widać, scena z „Psów”

Pasikowskiego, gdy kapitan Stopczyk bez mrugnięcia okiem łąże o „fakturach za środki czystości”, jest nieźle oparta na faktach.

Zarówno Kiszczak, jak i Kozłowski zakazywali tych działań. O ile rozkazy Kiszczaka były wydawane dla prasy, nie zaś MSW, i miały na celu stworzenie wrażenia działania, o tyle z Kozłowskim sprawa wyglądała nieco inaczej. Faktem jest, że cały rząd Mazowieckiego przed lustracją bronił się rozpaczliwie i nierzadko bełkotliwie, co widać na przykład po wypowiedzi Kozłowskiego z kwietnia 1990 roku: „Rzucenie tego materiału na żer opinii publicznej byłoby czymś niehumanitarnym, dającym pożywkę dla najgorszych instynktów.” Jediną, rachityczną zresztą, próbą przyjrzenia się działaniom MSW była powołana 2 sierpnia 1989 roku Nadzwyczajna Komisja do Zbadania Działalności MSW, na której czele stanął Jan Maria Rokita. Choć funkcjonowała do września 1991 roku, jej działania były bardzo mocno ograniczone przez prawie całkowity brak możliwości pracy. Nie mogła wzywać świadków na przesłuchania, nie uzyskała pełnego dostępu do archiwów, o każdy dokument musiała toczyć boje, często też otrzymywała je w wersji ocenzurowanej. Żadnej pomocy nie udzielił jej też rząd.

Kwestią otwartą jest tutaj odpowiedź na pytanie, czy indolencja Mazowieckiego w tej kwestii, której efektem była niemożność wyciągnięcia konsekwencji wobec aparatu bezpieczeństwa, była spowodowana jego kunktatorstwem i niechęcią do podejmowania zdecydowanych działań, czy też problem leżał głębiej.

KRÓTKA ROZPRAWA MIĘDZY PREMIEREM, CENZOREM I PLEBANEM

Wśród instytucji aparatu represji w jakimkolwiek państwie totalitarnym cenzura znajdzie się na jednym z pierwszych miejsc. Skrępowanie wolnego słowa i wymiany myśli jest jedną z głównych cech tego typów ustrojów, rozsądnym założeniem jest więc, że w momencie odzyskiwania wolności cenzura zostaje zlikwidowana jako jedna z pierwszych. Zastanawia więc fakt, że Mazowiecki cenzurę zostawił w spokoju, zaczął zaś od czegoś

zupełnie innego: Urzędu do Spraw Wyznań.

Represje, jakim podlegał w okresie PRL Kościół (nie tylko katolicki), są bezsprzeczne i dobrze znane. Władza komunistyczna obawiała się tej instytucji, widząc w niej, i słusznie, przetrwalnik dążeń niepodległościowych oraz konkurenta w sprawowaniu „rządu dusz”. Nie ulega wątpliwości, iż działalność Urzędu do Spraw Wyznań była czarną kartą historii PRL i należało go zlikwidować. Ale...

Ten relikw stalinizmu w okresie lat 80. stopniowo tracił na znaczeniu, które w 1989 roku było już marginalne – nikt z Kościołem już walczył w taki sposób, jak przed laty, nie prowadził. Ten zaś ustabilizował swoją sytuację do tego stopnia, że nie wymagała ona wspomagania, nie podlegał już represjom i nie utrudniano mu pracy. Choć nie ulega wątpliwości, że Urząd trzeba było zlikwidować, nie było konieczności robienia tego od razu, odkładając na później inne, ważniejsze zmiany. Tymczasem już 3 listopada Urząd do Spraw Wyznań przeszedł do historii, uprzedzając na przykład wspomnianą wcześniej cenzurę. Dlaczego?

Istnieją dwa wyjaśnienia. Po pierwsze, Mazowiecki był działaczem katolickim, współpracownikiem PAX, KIK i „Więzi”. Logiczne było, że instytucji, która tak bardzo rzucała kłody pod nogi Kościołowi, sympatią nie darzył. Trudno jednak uwierzyć, by był tak radykalny, by wypowiedzieć Urzędowi vendettę. Bardziej prawdopodobne wydaje się przyjęcie, że działał pod publiczkę. Usuwał źle kojarzący się element systemu represji, powszechnie znany, a zarazem wystarczająco nieważny, by jego zniknięcie nie naruszało ustaleń okrągłostołowych. Których, jak pamiętamy, trzymał się kurczowo. W końcu jednak i na nie przyszedł czas.

Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk powstał w 1946 roku. Cenzura towarzyszyła więc Polakom przez cały okres komunizmu i z niecierpliwością wyczekiwano jej upadku. Nie do końca jednak, biorąc pod uwagę fakt, że po dojściu do władzy

Mazowieckiego działała dalej. Mało tego, tylko dzięki sprzeciwowi grupy posłów OKP z planu budżetu na rok 1990 usunięto 5 mld złotych, przeznaczonych na jej działalność. Przyczyniło się to do ostatecznej jej likwidacji, która miała miejsce 11 kwietnia 1990 roku. W tym czasie jednak Urząd Rady Ministrów pracował nad projektem stworzenia... nowej cenzury – „demokratycznej” i opartej na prokuraturze. Podsekretarz stanu w URM Jerzy Ciemniewski argumentował, że trzeba zabezpieczyć państwo przed przestępstwami prasy. Po artykule zamieszczonym w „Gazecie Wyborczej” opór społeczny doprowadził do upadku pomysłu.

Po co działaczowi opozycyjnemu cenzura? Najprawdopodobniej ze strachu, tym razem jednak nie tylko przed naruszeniem umowy z PZPR. Cytując samego zainteresowanego: „mogliśmy się obawiać prowokacji antyradzieckich w prasie, nie mieliśmy żadnych możliwości przeciwdziałania”. Jeśli tłumaczenie to jest prawdziwe, to Mazowiecki wykazał się w tej sytuacji zadziwiającym jak na niego pragmatyzmem. Gotowość do zakneblowania ust prasie poprzez stworzenie własnej wersji znienawidzonego aparatu cenzury jest zadziwiająco radykalne jak na tą postać.

SZTANDAR PARTII – WYPROWADZIĆ!

Na te wygłoszone 28 stycznia 1990 roku słowa Mieczysława Rakowskiego miliony Polaków czekały od chwili utworzenia tej partii. Każdy zjazd PZPR kończył się wyprowadzeniem sztandaru, tym razem jednak były to słowa szczególne, bowiem tego dnia partia została rozwiązana. Znikła siła będące przedłużeniem woli Moskwy, pozostał jednak pewien niesmak.

Z jednej strony upadek partii cieszył z jasnych powodów. Z drugiej jednak nie było w tym żadnej zasługi Mazowieckiego. PZPR rozpadła się, bo nikt już nie chciał do niej należeć. Liczebność członków malała w zastraszającym tempie, lokale pustoszały, organizacje partyjne likwidowano. Same budynki stały się zresztą zarzewiem kolejnego konfliktu, zajmowali je

bowiem członkowie Konfederacji Polski Niepodległej, żądając, między innymi, dofinansowania ich partii na takich samych zasadach co PZPR, ZSL i SD oraz rewindykacji majątku trwałego. Było to działanie nielegalne i nie można było oczekiwać, że rząd Mazowieckiego, dążący w końcu do stworzenia z Polski państwa prawa, poprze te działania. Doszło jednak do sytuacji kuriozalnej: kiedy Mazowiecki i Kuroń domagali się usunięcia ludzi KPN siłą, Kiszczak wykręcał się od tego jak mógł, zasłaniając się coraz dziwniejszymi wymówkami, na przykład wymyśloną chorobą gardła.

KPN nie był jednak w tym działaniu osamotniony – razem z Federacją Młodzieży Walczącej konfederaci otaczali obrady XI Zjazdu, osłaniane przez spore siły milicji. Tam zaś ważyły się dalsze losy dawnych rządzących.

Podczas Zjazdu wyłoniły się dwie koncepcje działania. Pierwsza, mniejszościowa, popierana była przez jedynie kilkudziesięciu (na ponad 1,5 tysięcy) delegatów na czele z Tadeuszem Fiszbachem. Postulowała ona całkowite zerwanie ze skompromitowaną PZPR i rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Odeszli oni i założyli Unię Socjaldemokratyczną, która po półtorej roku istnienia uległa rozwiązaniu i została częściowo wchłonięta przez Ruch Demokratyczno-Społeczny (później Unia Pracy).

Większość członków PZPR była jednak nieco bardziej pragmatyczna. Składała się ona z 1196 delegatów, którzy w przerwie obrad podjęli decyzję o utworzeniu Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, której przewodniczącym Rady Naczelnej wybrany został Aleksander Kwaśniewski, 36-letni członek Prezydium Rządu i przewodniczący Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów, wcześniej zaś minister-członek Rady Ministrów ds. młodzieży. Obrady wznowiono jeszcze na chwilę, głównie by dopełnić formalności oraz by przekazać nowoutworzonej partii cały majątek likwidowanej PZPR. Wywołało to protest, jednak niestety nie Mazowieckiego. Ten wraz ze swoim rządem i większością OKP zablokował wszelkie próby

utrudnienia SdRP przejęcia majątku nieboszczki Partii. „Ważne jest, w jakim stylu odzyskamy ten majątek” – tłumaczył Aleksander Hall, co budzi, delikatnie mówiąc, mieszane uczucia. W ostatecznym rachunku pod przewodnictwem Jacka Ambroziaka, szefa URM, powstała komisja, która miała zinwentaryzować majątek odziedziczony po PZPR. Jednak mimo jej działań, a nawet ustawy z 9 listopada 1990 roku o przejęciu tego majątku przez Skarb Państwa, SdRP zdołała zawładnąć wystarczająco wielką jego częścią, by zabezpieczyć swój byt.

REWOLUCJA CZY EWOLUCJA?

Rząd Mazowieckiego stał okrakiem w dwóch okresach: z jednej strony był to ostatni rząd PRL, zarazem jednak pierwszy rząd odrodzonej Rzeczypospolitej. Czy sprawdził się w tej roli?

Gdybym miał odpowiedzieć jednym słowem, było by to: „nie”. Do sukcesów można zaliczyć reformy gospodarcze, które pchnęły Polskę w kierunku gospodarki opartej na wolnym rynku i nieskrępowanych mechanizmach wymiany, elementach niezbędnych dla chcącego się rozwijać i bogacić kraju. W ogólnym rozrachunku słuszną była też polityka zagraniczna, gdzie udawało się Mazowieckiemu i Skubiszewskiemu dość skutecznie ławiować między upadającym imperium sowieckim oraz państwami zachodnimi, choć i tu zdarzały się porażki. Natomiast politykę wewnętrzną pozwolę sobie ocenić jako nieudaną. Wszystkie negatywne cechy Mazowieckiego, jego kunktatorstwo, lękliwość czy wręcz serwilizm dały tu o sobie znać i zatrzymały działania, dzięki którym można się było pozbyć spuścizny po PRL raz na zawsze. Pewną okolicznością łagodzącą jest tu fakt nieposiadania przez środowiska dotychczasowej opozycji pomysłu na Polskę. Jednak to Tadeusz Mazowiecki został premierem i to on wziął na swoje barki odpowiedzialność za kraj. I to on w swoim czasie, kiedy upływ czasu pozwoli na obiektywną ocenę jego rządów, zostanie z nich rozliczony.

Autor: Przemysław Mrówka ([CC BY-SA 3.0](#))

Zdjęcie: Artur Kłose ([CC BY-SA 2.0](#))

Źródło: Histmag.org

BIBLIOGRAFIA

1. Dudek Antoni, Historia polityczna Polski 1989–2011, Znak, Kraków 2013.
2. Dudek Antoni, Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988-1990, Arcana, Kraków, 2004.
3. Sowa Andrzej Leon, Historia polityczna Polski 1944–1991, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.